

Tymczasem mały roznosiciel ciastek, Jack — zauważył ruch policji przed gmachem.

Będzie zabawa — błysnęła mu wesoła perspektywa sensacyjnej „heczy“. Zastanowił się chwilę. Co robić? W każdym razie nie zawadzi dać znać do operatorni.

Poleciał tam, jak strzała...

Operator przeraził się...

— Oho, źle — mruzczał zdenerwowany. — Tym razem nie pójdzie nam tak gładko. Will, uymkaj co tchu i staraj się jakoś wydostać z tej matni... Jedź do pana Daxa na „Bajaderę“. Niech przybywa coperdziej, ale ostrożnie, bo może i on wpaść. Ja tu zostaję.

Will, młody pomocnik wybiegł za korytarz.

Tuż, niedaleko słyszał już kroki pędzących po schodach agentów. Nurknął w bok i przykucał w głębokiej niszy okna, zasłoniętej firanką. Ajenci przemknęli koło niego, jak wichry. Zerwał się.

— Will, głowa na karku — upominał się półgłosem, skradając się na dół ku wyjściu. Ale już na widowni wszczął się ggieł i tłumy poczęły się wylewać przez wszystkie drzwi do hallu. Skorzystał z tego i wmieszał się między uciekających, choć nie rozumiał przyczyny popłochu.

— Wymknę się niepostrzeżenie — cieszył się.

Tymczasem ajenci z Hartmannem na czele wpadli do operatorni. Operator zgasił światło i ze spakowaniem na prędcie zawiniątkiem filmów chciał się im wysilznąć w ciemności.

— Światło — ryknął Hartmann wchodząc. Młody agent, Hertz nie miał latarki, więc pośpiesznie zapalił zapalniczkę. Ale niestety jak najgorzej przysłużył się sprawie. Operator szamotał się z napastnikami rzucając się, jak ranny jaguar, a w trakcie tego paląca się jeszcze zapalniczka wypadła z ręki Herta. Na ziemi leżał zwój taśmy filmowej, której nie zdążył jeszcze zapakować operator.

Fuknął płomień.

W okamgnieniu stanęła w ogniu łatwopalna celuloza. Przestraszony operator zaryczał, jak bawół.

— Ratujcie filmy, ratujcie filmy — wrzasnął rozdzierająco. Ale już było zapóźno.

Płomień dobrał się już do zawiniątka, które wyrwano z rąk jego w trakcie walki. W operatorni zrobiło się purpurowo od raptownego blasku. Agent Hertz jęknął przeraźliwie sięgając rękami do oczu.

— Uciekać! Kino się pali — huczał operator i wyrwał się trzymającym go agentom.

— Gore! Gore!! — pisał, szlochał i wył w potwornym żalu i strachu, uymkając jak jeleni po puszystym chodniku korytarza.

— Aaa! Oczy moje — na miłość boską — z, nosił się łkaniem bólu Hertz.

Hartmann pchnął go w drzwi i wywlokł z nieszczęsnej operatorni... Drugi agent tarzał się już po chodniku, gasząc zatłone ubranie.

A na widowni rozszalała się panika..

Tłum ruszył się i zakotłosał burzliwie już wtedy, gdy błysły wszystkie światła w sali, a z górnej loży rozległ się donośny głos Maxa:

— Przedstawienie pizerwane przez policję! Proszę natychmiast opuścić kino.

Ale dopiero łoskot bójki toczącej się w operatorni i przeraźliwy krzyk: „Gore!!!“ targnął ludźmi, jak powietrzna trąba.

Zamęt, ggieł, grzmot, jakby nadciągającej burzy. Skłębiony popłoch runął pomiędzy krzesła widowni..

— Uciekajcie! Uciekajcie!!

— Gore!

— Kino się pali!...

— Drzwi, drzwi — otwierać wszystkie drzwi!!!

Lawina poczęła się toczyć ku wyjściu z głuchym łoskotem. Rozlegały się wrzaski kobiet duszonych w tłoku.

— Spokój, psia krew!!! — usiłował Mac Sterling przekrzywić tę burzę. Ale nikt nie zwracał nań uwagi..

Na dole policjanci otwierali na oścież bramę z gorącym pośpiechem. Napróżno usiłowali utrzymać porządek i uspokoić oszalałą z trwogi tłuszcę. Brama wybuchała, jak krater wulkanu czarną ludzką lawą. Tłumy wydostawszy się na ulicę rozbiegały się w okamgnieniu, pędząc na oślep przed siebie, siadając do aut i powozów, rozrywając kordon policji, jak wątłą nitkę. Histeryczne, spazmatyczne jęki i piski kobiet mieszały się z rykiem rozjuszonych i ogarniętych paniką mężczyzn. Uciekając auta i powozy trąbiły, huczały, strzelały kanonadą motorów, najeżdżając na siebie w ścisłu.

Lady Aladin biegła wraz z innymi — porwana przez wezbrana powódź ludzką. Dwa razy przewróciła się i cudem powstała z ziemi, nierozdeptana przez tłuszcę. Zgnieciona, podrapana, bez kapelusza szamotała się dziko i walczyła z trąjącym stadem.

— Nieszczęście, nieszczęście — pękał jej w mózgu jakiś rozpaczliwy szloch i popłoch nerwów. — Dax, widzisz! Nie chciałeś słuchać! Pali się, pali twoje dzieło... Oto masz Dax! widzisz, nie chciałeś słuchać!!!

Pożar rozszalał się na dobre.

Płomienie przesłakiwały z łóż do łóż, z balkonów na balkony, jak obłąkane, rozwścieczone tygrysy. Coraz wyższe piętra ogarniało i pochłaniało bezlitośnie purpurowe morze. Krwawe jęzory wywalały się z okien, potworny hałas, jakby turkot tysiąca wozów po bruku, jakby szum stumetrowych wodospadów rósł, nabrzmiwał, bił w bębny, aż trysnął w niebo

gejzerem gromów, gwizdów i błyskawic. Wewnątrz zapadały się z trzaskiem balkony, zasypując rumowiskiem olbrzymią halę widowni. Klatka schodowa ggieła się, rysowała, chwiała, aż załamała się, jak most podmyty burzliwą falą i runęła w dół... Wówczas gigantyczny gmach zamienił się w istne piekło...

„Ulica Lampjonów“ zaniosła się całą przeciągłym, ścinającym krew w żyłach spazmem...

Łuna zaświeciła nad miastem...

Na pobliskich placach i sąsiednich ulicach gromadziły się wylęknione rzesze.

— „Demon“ się pali! — poleciała po mieście straszliwa wieść, jak ponura, alarmująca depesza...

Na „Bulwarach Amerykańskich“ rozwarły się ze zgrzytem olbrzymie bramy „Pałacu Gasicieli“. Dwanaście wozów, dwanaście stalowych smoków wyleciało z wrzaskiem syren i trąb złowieszczych.

Jak szereg skowyczących dudniących rydwanów wpadły automobile „straży pożarnej“ w „Ulicę Lampjonów“.

Szturm ludzi na warownię żywiołu.

Rozkładały się automatycznie stalowe drabiny czarnymi sztabami dźwigając się w niebo. Chwiały się w górze uroczyście, aż zaczęły szponami haków o dach budowli-kolosu. Pobiegły po nich, jak koty, małe figurki strażników. Wdrapywali się hen — aż na szczyt gmachu, pchali się bohatersko w ogień, skakali w czeluście okien opancerzeni ogniotrwałym kostjumem.

Sikawki poczęły działać sprawnie i potężnie.

Łunęły strugi wody, jak sprężyste, skaczące na swą ofiarę węże...

Płomień syczał, gwizdał, skomlał, przyczajał się chytrze, by znów wystrzelić wulkanem, póki gorliwa robota „Gasicieli“ i druzgocąca przewaga wody nie przytłumiły wreszcie jego bestjałskiej orgji. Wówczas przycichł, skurczył się, zmałał, ale chichotał wciąż i kpił złośliwie z triumfujących napastników. Ustąpił z placu, ale wrzód wyhulał się dowoli i nażarł do syta. Z ogromnej, monumentalnej budowli pozostał tylko nędzny, osmalony szczątek, szkielet okopcony i zwęglony ohydnie, szczyrzący beżmyślnie oczodoły okien i otwartą paszczką bramy. Wewnętrzna hala wypełniona była gruzem i żarzącym się zgłiszczem. Bezcerne żyrandole, rzeźby, lustra i stoliki, urządzone z przepychem łoża, malowidła ścian i sufitów, dywany i ornamentowane kotary — wszystko to przemieniło się w ponurą, skwierczącą kupę żużlu, po której pełzały dymy i małe, konwulsyjne płomyki.

Kinoteatr „Demon“, plaga i rozkosz ludu przestał istnieć...

Jak wichry pędziło auto barona Daxa na miejsce wypadku. Nie zważając na gwizdy policjantów i popłoch wymijanych wozów, walił Dax elektrycznym cwałem nagle wciąż szofera i wybierając najmniej ludne ulice, by nie ulec hamulcom nieubłaganego ruchu mas ludzkich. Szofer dokazywał cudów waleczności. Bodąc wóz ostrogą pośpiechu — zdało się — nie gnał, nie pędził, nie leciał, lecz wprost robił jakieś sprężynowe, gutaperkowe skoki i susy, przebywając jednym „salto mortale“ etapy ulic i placów przybliżając się błyskawicznie do celu. Skręcał nagle i nieprawdopodobnie zuchwale, tak, że koła zjeżdżały w bok w kierunku odśrodkowym po szlifowanym asfalcie. Brał przeszkody, jak najlepszy dżokej na wyścigowej klaczy, mijał auta, tramwaje i powozy z tak szatańską zręcznością i wprawą, że oglądali się za nim ze strachem osłupiali konduktorzy i szoferzy..

Wpadł w kolorowymi światłami nabijany wawóz „Ulicy Lampjonów“.

Z daleka już widać było tłum ludzi i dolatywał głuchy, chrapliwy jęk dławionego za gardziel żywiołu. Kłęby dymu, czerwone języki i czarne kadłuby strażackich samochodów. Auto zajechało przed gmach i zatrzymało się w miejscu, jak wryte.

Dax zadrżał i coś jakby łkanie wydarło się z jego piersi. Opanował się i patrzył.

Na miejscu cudnego, magicznego pałacu sterczały czarne, osmalone zgłiszcza.

W powietrzu wisiał gęsty czad, jakby wyziewy cuchnącego już trupa. Czarna, jak noc sadza dymiła z wnętrza.

Dax patrzył i patrzył, a jego żelazny duch i niepożyta energia poczęły się gigać, rozluźniać i łamać...

— Czy to początek końca? — szalał mu w rozpalonej głowie jakiś pytańnik niesamowity. — Co robić? Kapitulować? Uciekać? A może walczyć jeszcze z nieodgadnionem fatum niosącym może w zanadrzu nieszczęście?

Przed oczyma mignęła mu ciemna, znajoma sylwetka.

— Nazad — huknął na szofera...

Szofer puścił w ruch motor...

Ale już leciał ku niemu Mac Sterling, uczony dr. Emilianus wymachując, jak wiatrak długimi rękami...

— Stój draniu — ryczał. — Chłopczy, oto on... do diabła!

— O, nie bratku! Jeszcze się mój los tutaj nie rozstrzygnie! Jazda!

Mac pchnięty straszliwym ciosem zleciał ze stopnia wozu.

Nuże, podaj mi auto! — jęknął podnosząc się z asfaltu...

Ajenci strzelali...

— Nie strzelać idjoci, bo mi pomordujecie „cywilów“ — złołeczyl Mac. Skoczył do auta. Runął za Daxem w wawóz ulicy biorąc z miejsca pęd największy. Ale szofer jego nie mógł się mierzyć z djabelskim automedonem Daxa...

(Ciąg dalszy nastąpi).